Nr. 7. Poznań, Niedziela 11-go Lutego 1900. Rok IV.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen. z przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Polacy w Berlinie.

Dwa tygodnie temu odbył się w Berlinie wiec Polaków, który zarówno ze względu na swój przebieg, jak i na poważną liczbę uczestników musi być uznany za doniosłą manifestacyę. Że wielka sala Buggenhagena okazała się za małą, aby pomieścić uczestników wieca — widoczny i namacalny to niejako dowód, że sprawa stworzenia organizacyi narodowej znajduje wśród Polaków berlińskich coraz więcej zwolenników i, że nie poszły na marne trudy tych, co — sami nie wiedząc, jaki skutek ich usiłowania odniosą, — do opierania się germanizacyi zachęcali i na pracę w towarzystwach wskazywali, jako na najlepszy środek utrzymania ducha narodowego. Sala była przepełniona, tłumy ludzi odeszły z przede drzwi, nie mogąc dostać się na salę — najlepszy to dowód, jak naszym Polakom w Berlinie potrzeba od czasu do czasu publicznego zadokumentowania swej narodowości, najlepszy to dowód, że kolonia berlińska — byleby tylko odpowiednio zdołała się zorganizować, — ważnym czynnikiem społecznym, dla kraju stać się może, i mamy nadzieję, że się stanie, znając pracowitość i prawy charakter ludzi, którzy ster mają w ręku.

Lecz przepełnienie sali, zewnętrzne powodzenie wieca — to objaw, który wszędzie i zawsze do wypadkowych zaliczyć można; bardziej na uwagę zasługuje i komentarze wzbudza wewnętrzna, moralna strona, która się na wiecu polskim ujawniła. Nie zamierzamy tu dawać sprawozdania z wiecu, gdyż fakt, kto przemawiał i w jakim porządku przemawiano należy też do zewnętrznych; my tu mamy na myśli wewnętrzny, moralny, duchowy kierunek myśli i dążeń berlińskich Polaków, których wiec był wymownym dowodem. Za najbardziej charakterystyczne uznać należy dwa objawy: po pierwsze, stanowisko, jakie wiec zajął wobec inteligencyi i posłów, powtóre — stanowisko wieca wobec socyalnej demokracyi.

Polska kolonia w Berlinie składa się przeważnie z ludzi pracy, z ludzi, którzy wyrośli sami z siebie, nie wyniósłszy z kraju nic oprócz pary zdrowych rąk i świadomości, że przy usilnej pracy powrót do kraju nie jest mrzonką. Ludzie ci, najrozmaitszego zawodu i zajęcia, nabyli na obcym gruncie tej samodzielności poglądów i zdania, jakiej niestety brak tym sferom w kraju. A z chwilą, gdy dzięki usiłowaniom jednostek udało się zszeregować jako tako żywioły, objawiła się w nich wielka chęć do pracy społecznej, do gromadnego radzenia nad sprawami, ogół obchodzącemi, do czynnego zadokumentowania, że kolonia berlińska polska — tak liczna, jak mało która w Europie, chce działać. Nie trzeba zapominać, że w kraju, gdzie lud samodzielnością zdania się nie odznacza, inteligencya spełnia dotychczas prawie wszędzie rolę owego zaczynu, budzącego ruch społeczny i kierującego nim; w Berlinie jednak z przyczyn, w zgłębianie, których tu wchodzić nie będziemy, inteligencya miejscowa, (a poczęści i posłowie) do wspólnej pracy społecznej z ową liczną sferą rzemieślniczo-przemysłową nie czuje się powołana i podczas gdy te warstwy coraz bardziej gromadzą się pod hasłem wspólnej organizacyi narodowej, ona stoi w rozsypce, na uboczu.

Wiec udzielił admonicyi (faktycznie, choć nie formalnie) posłom i inteligencyi z powodu oziębłości jej wobec spraw kolonii polskiej w Berlinie. Nie myślimy przed zarzutem tym brać w obronę inteligencyi polskiej z Berlina, wiedząc aż nadto dobrze, ile to trudów i mozołów przemódz musi działacz społeczny ze sfery rzemieślniczej, zanim zdoła dojść do rezultatów, które z największą łatwością ktoś inteligentny mógłby osięgnąć. Nie należy bezczynnie patrzeć na to, jak ta dzielna średnia warstwa boryka się z trudnościami, które dłoń inteligentna ławoby usunąć mogła wskazaniem właściwej drogi, — ale, z drugiej strony przyznać musimy tu, że kolonia polska w Berlinie i bez pomocy posłów, inteligencyi radzić sobie umie i z pochwały godnem zrozumieniem czasu i warunków, jak i swego posłannictwa, potrafi silnie stanąć na gruncie narodowym. Polacy berlińscy dowiedli tego ostatnim wiecem. W przemówieniach, tchnących — pomimo dyssonansu z inteligencyą — prawdziwie narodowym duchem zostało ściśle określone stanowisko ogółu kolonii polskiej do garstki „polskich“ socyalistów beznarodowych, a określone zostało w tak dosadny sposób, jak gdyby wiec chciał dać

wyraz przewodniej myśli pod adresem inteligencyi: „myślicie, że bez waszego współudziału wpadniemy jak ślepe owce w otchłań socyalizmu? Wcale nie! Otóż dajemy wam dowód, że mamy dość jasnego poglądu na świat, aby w tę otchłań nie wpaść!“

Uważamy to za wielki moralny dorobek kolonii berlińskiej i jako taki tu zapisujemy.

Niejednokrotnie na łamach naszego pisma daliśmy wyraz przekonaniu, że pobyt na obczyźnie może być dla wielu naszych wychodzców prawdziwą szkołą patryotyzmu i przywiązania do ziemi ojczystej. Przekonaliśmy się o tem i na wiecu, że przy odpowiedniej organizacyi większe kolonie polskie po miastach niemieckich mogłyby świadczyć krajowi niezmierne korzyści, nakłaniając wykwalifikowanych, samodzielnych i zasobnych wychodźców do osiedlania się w kraju. Choćby przypływ liczebnie sto razy był mniejszy od zwykłego odpływu elementów emigrujących, pod względem społecznym wynagrodziła by się w zupełności strata, jaką ponosi przez utratę licznej ludności emigrującej: bo to można uważać za pewnik, że takiego procentu ludzi myślących, mających szerszy pogląd na świat, ludzi przejętych do głębi patryotycznemi uczuciami, jaki odnaleść można na wiecach berlińskich Polaków, daremnieby szukać między ludem w kraju.

Jednakże dotychczas pod tym najważniejszym względem, w sprawie powrotu wychodźców do kraju, w nader małej części ziściła emigracya życzenia i nadzieje kraju. Tłomaczymy to sobie tem, że usiłowania organizacyi istniejących skierowane były przedewszystkiem ku temu, aby wychodźców zachęcić do oszczędności, wyrobić z nich ludzi myślących i przejąć duchem obywatelskim; wiec ostatni pierwszą był próbą dalszego kroku, ważniejszego nad tamte — próbą wskazania wychodźcom drogi powrotnej do kraju. Zapominać nie trzeba, że stoimy więc dopiero u początków dzieła i że bez obudzenia ruchu powrotnego w najsilniejszych, najlepszych i najzamożniejszych elementach, cała rzecz pozbawiona będzie korony. Powinny to zrozumieć nietylko sfery interesowane, ale powinna to zrozumieć inteligencya młoda, dorastająca, studenci — i jeśli oni nie uchylają się od brania czynnego udziału w pracy społecznej nad emigracyą, to czyż myśl dobra nie znajdzie drogi do mózgów starszego pokolenia? A jeśli nie znajdzie — tem gorzej dla niego.

Kazimierz Radwan.

Egzekucya i proces.

Wspomnienie z 1 Lutego 1847 r.

Zamierzony na 21 lutego 1846 roku wybuch powstania przeciwko Prusom nie udał się. Libelt, Mierosławski, Mielżyński, Berwiński, Wł. Kosiński — a wraz z nimi kilka set innych osób, wtajemniczonych w spisek zajęło miejsce na ławie oskarżonych w Berlinie, aby usłyszeć wyrok śmierci lub dożywotniego więzienia. Kraj stał się widownią ciągłych inkwizycyi, domy prywatne oddane na pastwę ciągłych rewizyi, starcy i dzieci, kobiety i mężowie — jeśli Polacy — tem samem za spiskujących, a zatem za winnych byli uważani.

Przeszedł rok od czasu nieszczęsnego odkrycia spisku, rok ciężki, spędzony w ciągłej trwodze o los ukochanych osób; mało było rodzin, któreby nie były dotknięte pośrednio lub bezpośrednio; jeśli nie na oskarżonych, to na świadków popowoływano do Berlina, a świadczyć przeciw tym, których się kocha, jakaż to męka straszna dla serc patryotów!

Lecz choć dłoń żandarmska przerzedziła szeregi patryotów, choć więzienia były pełne, a dobrowolna emigracya z kraju pochłonęła setki pożytecznych krajowi jednostek, nie upadł duch w społeczeństwie, lecz raczej wzmocnił się, nabrał hartu w niedoli. Z kilkuset spiskujących zrobiło się kilkanaście tysięcy, fala patryotyzmu, fala budzącego się protestu przeciw gwałtom, popełnianym na Polsce, porywała w wir życia politycznego setki osób bez ich wiedzy i woli.

Że mężów nie stało, niewiasty polskie ujęły w dłoń sztandar sprawy narodowej. W iluż to domach polskich ukrywali się wówczas przed okiem policyi i szpiegów emisaryusze organizacyi demokratycznej emigracyjnej! Iluż to ściganym na podobieństwo dzikiego zwierza rozbitkom ocaliła życie tylko przytomność umysłu i bohaterskie poświęcenie kobiet polskich!

A jednak ich słabe siły nie wystarczyły, aby ocalić wszystkich. W styczniu 1847 roku wpadła policya pruska przy pomocy szpiegów na trop jednego z członków centralizacyi wersalskiej, Antoniego Babińskiego. W chwili, gdy miano go aresztować, Babiński miał przy sobie rozmaite ważne papiery, które byłyby skompromitowały niejedną rodzinę, ocaloną przypadkowo z obławy, urządzonej przez policyę po nieudanym wybuchu 1848 roku. Babiński chciał uciekać — lecz żandarm z wydobytym pałaszem biegł za nim i już go miał dosięgnąć. Nieszczęśliwy zbieg odwraca się, staje i woła na prześladowcę swego: „Chyba mnie trupem dostaniesz!“ Żandarm nie słucha, tnie Babińskiego przez rękę. Ten, widząc ostateczność, drugą ręką wydobywa nabity pistolet i kładzie żandarma na miejscu trupem. Potem niszczy papiery, a gdy już tylko siebie samego czuł w niebezpieczeństwie, szuka schroniska. Niestety, pościg już jest na tropie emisaryusza. Gdzież się ukryć, pod czyim dachem szukać opieki?...

Babiński wpadł w ręce policyi.

Zasądzono go na śmierć. Sąd wojenny, który wtedy był czynny, nie znał pardonu, nie chciał uwzględnić tłomaczenia emigranta, że tylko w obronie własnego życia użył broni.

Skazano Babińskiego na śmierć przez rozstrzelanie...

Dnia 1 lutego 1847 roku, w piękny, słoneczny, mroźny poranek wyszedł przez miasto pluton żołnierzy, z oficerem na czele. Na jednym z placów publicznych miasta Poznania miała się odbyć egzekucya skazańca. Pomimo wczesnej pory widać było pewien bojaźliwy, niespokojny ruch na ulicach do placu prowadzących.

Rozległa się komenda. Zapanowała śmiertelna cisza. Żołnierze ustawili się w szeregu, oficer wziął białą chustkę do ręki, aby nią dać znać. Skazaniec, ze związanemi w tyle rękoma, stał w obliczu śmierci, spokojny, milczący jak gdyby urągając i wyrokowi sądu wojennego i lufom w pierś jego wycelowanym i całej potędze Europy, co dławiła naród i ojczyznę.

Ciszę przerwał tylko chrzęst odwodzonych kurków. Gdzieś z pobliża odezwało się tłumione łkanie. Z oczów skazańca strzelił błysk. Czuł bezsilność tych, coby go ratować chcieli, a z zaciśniętych nerwowo bladych warg zdawały się wybiegać słowa:

„Przyjdzie i na was piorun z nieba — wy, wy!“ — a wzrok jego padł na krzyż, co mu wisiał na piersi. Chciał go do ust przycisnąć, lecz ręce miał spętane. Prosto na krzyż padały jasne promienie słońca, a w tych promieniach ostatnie pożegnanie przesyłał świat skazańcowi, co poledz miał za sprawę.

Oficer zakomenderował „Baczność“!

Żołnierze wzięli na cel pierś ofiary. Biała chustka zadrżała w wyprostowanej do komendy ręce oficera. Słychać było krótki, nerwowy, straszny, nieubłagany głos „Feuer“, chustka opuściła się ku ziemi, a z luf wysunęły się jakby iskry, dymek biały, lekki, wązkim paskiem się unosił, grzmot wystrzałów rozległ się po mieście.

Poznań wiedział w tej chwili, że ofiara spełniona.

Do ciała zabitego zbliżyła się jakaś młoda panienka i wzięła z piersi jego skrwawiony krzyż...

Tego dnia pełne były kościoły poznańskie. U Fary, w Tumie, u św. Marcina i w innych kościołach gromadził się lud, uciekając przed ołtarze Pana zastępów, aby ukryć boleść i rozpacz bezsilności. W przepełnionych kościołach słychać było tłumiony płacz. Księża w konfesyonałach udzielali pociechy religijnej, ukojenia każąc szukać u stołu Pańskiego.

Dnia 8-go lutego odbyło się w kościele św. Wojciecha uroczyste nabożeństwo żałobne za spokój duszy nieszczęsnej ofiary. Komitet pań poznańskich zajął się przygotowaniem uroczystości. Kazalnica, czarnym kirem okryta, nosiła umieszczony na tablicy napis: *Antoni Babiński, członek towarzystwa demokratycznego polskiego w Paryżu, rozstrzelany dnia 1 lutego 1847 r.*

Naokoło ołtarza klęczały półkolem młode panienki w białych strojach, z jarzącemi świecami w dłoniach, a po ukończeniu żałobnego nabożeństwa jedna z nich podniosła w górę krzyż, zdjęty z piersi zabitego, okolony wieńcem z oleandrowych liści.

Poznał lud krzyż okrwawiony — i jęk się ozwał po kościele, a gromadka dziewic zaczęła wtedy śpiewać — jednę z gorących, nasyconych gorzkiemi łzami pieśni Janusza.

Potem rozdzielono wieniec na pamiątkę i do dzisiejszego dnia w niejednym domu polskim przechowuje się jako relikwia — kawałek zeschłego liścia. Z owych on czasów pochodzi...

Druga msza żałobna, lecz cicha na rozkaz Arcybiskupa, któremu policya już zwróciła uwagę, odbyła się dnia 12 lutego w kościele św. Marcina.

Dnia 18 lutego naczelny prezydent rozkazał wytoczyć proces osobom, które miały udział w „demonstracyi“. Do śledztwa pociągnięto przeszło 100 osób, ograniczono je wreszcie do pani Izabelli Kurnatowskiej, panny Tekli Dobrzyńskiej i pani Rozalii Kierskiej. Wszystkie inne uczestniczki miały przeciw nim świadczyć. Panienki w wieku od 13-stu do 20 lat zapomocą żandarmów przyprowadzano do sądów. Za odmówienie złożenia świadectwa panna Aniela Jeziorowska została aresztowaną; dziesięć dni trzymano ją w więzieniu. Panienkę czternastoletnią, p. Maryą Trąmpczyńską, kilkakrotnie pod groźbą gwałtu przyprowadzano do sądu. Panna Zakrzewska, p. Grabska, p. E. Zaborowska oraz 14—20 innych, nieznanych nam bliżej z nazwiska, panien, zostały pozbawione prawa przebywania w Poznaniu i w ciągu 24 godzin wydalone.

Panią Kurnatowską skazano na 6 miesięcy, p. Kierską na 4 miesiące, p. Dobrzyńską na 3 miesiące więzienia *„wegen Verspottung der Staatseinrichtungen.“*

Oh, wy kulturni Niemcy! *R.*

Wiek dziewiętnasty.

III.

Osadziwszy Napoleona na wyspie św. Heleny i zabiwszy go jakoby tem politycznie, rządy i królowie wrócili do dawnego swojego systemu samowładczego. Wprawdzie akta kongresu wiedeńskiego zapowiadały narodom konstytucyę, ale zapowiedź ta brzmiała tak dyplomatycznie*), że można ją było sobie tłumaczyć jako zobowiązanie, lub też jako obietnicę, którą królowie wykonają wtenczas, kiedy im się będzie podobało.

Naturalnie, że królowie tłumaczyli ją sobie tak, jak im było wygodnie, i prócz małych państewek Niemiec południowych, nigdzie nie pomyślano o tem; by obywatelom pruskim i austryackim, którzy za sprawę królów i narodów swoich krew i mienie poświęcili i najezdcę Napoleona wyparli, żądania ich wypełnić. Zaczęła się tedy na obszarze całych Niemiec i Austryi epoka tak zwanej restauracyi, pracy reakcyjnej, na czele której stał austryacki minister Metternich. Dzielnie sekundował w tych dążeniach ówczesny król francuzki Ludwik XVIII, który obcym mocarstwom tron i byt swój zawdzięczając, starał się zatrzeć w pamięci Francuzów zdobycze i pojęcia wielkiej rewolucyi; wspierała go w tem stara szlachta francuska, która mimo rewolucyi „niczego nie zapomniawszy, niczego nie nauczywszy się“ chciała wrócić do dawnych swoich przywilejów.

Ta epoka reakcyjna trwa niemal bez przerwy od roku 1815 aż do roku 1848, w którym to roku powszechny ruch rewolucyjny przeszedł przez Europę i zatrząsnął znowu staremi tronami. Ale już poprzednio w czasie tej pracy wstecznej rządów, przerwał im rok 1830 ich spokój, a mianowicie kiedy w lipcu 1830 r. Paryż schwycił za broń i wypędził ówczesnego króla Karola X, i w kilka miesięcy później na wschodzie Warszawa podniosła się w powstaniu listopadowem, wypędziła wielkiego księcia Konstantego, a za przykładem Warszawy podniósł się niemal kraj cały do walki o niepodległość.

W tym samym roku widzimy więc Paryż i Warszawę, na dwóch przeciwnych krańcach Europy cywilizowanej walczące o swoje prawa; na oko i ta i ta walka rewolucyjna, a przecież w gruncie rzeczy, jakież różne były walk tych przyczyny, hasła, cele, chociaż i tu i tam o „wolność“ walczono.

W Paryżu podnieśli tę walkę głównie bogaci mieszczanie, walczący o swoje osobiste prawa, których im reakcyjny król Karol X, ulegając zbytnio wpływom starej szlachty, zaprzeczyć i ująć zamierzał.

W Warszawie zaś podniósł się naród ciemiężony przeciwko obcemu władcy, chcąc wywalczyć sobie od lat trzydziestu utraconą wolność i niezależny byt polityczny. Poprzedzających powstanie listopadowe lat piętnaście stanowią chlubną kartę Polski porozbiorowej. Ówczesne „Królestwo Polskie“ mające nadaną przez Aleksandra I, tego trochę fantastę, trochę wielkodusznego cara konstytucyą i mające pewną swobodę, podniosło się materyalnie i umysłowo. Rozwinął się przemysł i handel, wzmogły się rzemiosła, rozkwitło gospodarstwo rolne, a wraz z poprawą bytu materyalnego, z większym dobrobytem podniosły się nauki i życie umysłowe w kraju.

Pod tym względem wielkie zdobył sobie zasługi książę Adam Czartoryski, osobisty przyjaciel cara Aleksandra i największy mąż stanu, jakiego Polska porozbiorowa wydała.

W tym to czasie obfitowała Polska w uczonych tej miary co bracia Śniadeccy, a przedewszystkiem Joachim Lelewel, dotąd w nauce geografii i historyi mąż niezatartej zasługi. Rzecz jasna, że im więcej naród rósł i krzepł na siłach i im więcej przychodził do poczucia swoich sił, tym więcej jarzmo moskiewskie go gniotło i cisnęło, tym więcej wzdychał do wolności; nigdy nie podnosi rewolucyi społeczeństwo słabe i bezsilne; bo rewolucya każda jest objawem siły, jest wybuchem sił nagromadzonych.

Nie możemy szczegółowo śle-

*) Paragraf 13 „Bundesaktu“ obowiązującego Austryą i całe Niemcy brzmiał: „In allen Bundesstaaten wird eine landesständische Verfassung statt finden.“

dzić ruchu rewolucyjnego Francyi ani Polski; Paryż swego dokazał, króla z tronu strącił a na jego miejscu osadził nowego, którego więcej starał się konstytucyą związać; powstanie Polski zaś, jak wiadomo, upadło, wybuch jego krwią zalano i zagaszono. „Warszawa spokojna“ mógł raportować do Petersburga jenerał Paszkiewicz, lecz była to cisza grobów, cmentarzy, gruzów i zwalisk. Tak więc te dwa ruchy rewolucyjne przeszły ze Zachodu na Wschód jak błyski złowrogie po zresztą spokojnem niebie reakcyjnem.

W Warszawie i Królestwie Polskiem ucisk stał się tem sroższy, konstytucyą zniesiono, a w miejsce jej zaprowadzono despotyczne cara rządy; we Francyi zaś król przez rewolucyą na tronie osadzony, Ludwik Filip Orleański, był wprawdzie konstytucyą związany, ale dążeniem jedynem jego rządów było konstytucyą tę złamać, obezwładnić i własną swoję przeprowadzić wolę.

Zdawałoby się, że rewolucya lipcowa w Paryżu i powstanie listopadowe w Polsce na resztę Europy, na Niemcy i Austryą nie oddziałały, bo się stosunkowo te kraje zachowały spokojnie. A przecież — pominąwszy już to, że w czasie rewolucyi w Paryżu, królowie ze strachem, narody z oczekiwaniem patrzały na Francyą, czekając co się zeń wyrodzi — na poruszenie ówczesne umysłów wpłynęło ogromnie nasze polskie powstanie listopadowe, rzecz szczególna, najwięcej po swoim upadku. Wtenczas to rozpoczęła się emigracya polska, ta wielka wędrówka narodu na Zachód, owo wielkie poselstwo narodu przed oblicze Europy.

Szły te gromady Polaków, szermierzy wolności z własnego kraju uciskiem cara wygnani przez Niemcy całe do Francyi„ ziemi cudzej“. Witano ich wszędzie w Niemczech jako bohatyrów wolności z entuzyazmem, naród niemiecki zapalał się do idei wolności (na co rządy naturalnie patrzały z niechęcią i niepokojem) i przez całe Niemcy rozbrzmiewał wówczas hymn nasz narodowy przez Niemców śpiewany:

„Noch ist Polen nicht verloren!“

Bo otóż ideą wolności żyła wówczas Europa, im większy był gdzie ucisk, tem gorętsze pragnienie wolności. Gdzież dzisiaj są te hasła, gdzie sympatya i życzliwość dawniejsza dla nas uciśnionych?

Emigracya polska schroniła się do Francyi, która wówczas wieczne braterstwo i pomoc Polsce obiecywała; rządy europejskie snuły dalej reakcyjną swoją robotę, aż dopiero rok 1848 miał na nich wymódz spełnienie ludowych życzeń, pragnień, potrzeb.

Poznańczyk.

Z TYGODNIA.

Gdy współpracownik nasz w noworocznym feljetonie życzył, aby los dał Niemcom w posiadanie obszary dwa razy większe od Azyi, i aby tam przenieśli się ze swemi manatkami, żartobliwie dodał, że „pewnie by to im było mało.“ Nie przypuszczaliśmy, że to, co żartem wypowiedziane zostało tak prędko prawdą się stanie, bo oto Niemcy z „wszechniemieckiego związku“ biją na alarm, że Polacy w Ameryce (!!) zagrażają tamtejszym koloniom niemieckim. W ostatnich czasach — tak piszą „Alld. Blätter„ — polonizm wzmógł się w Ameryce bardzo szybko, w sposób zastraszający dla niemieckich interesów. (Niemcy i w piekle chyba mają swe interesa), Polacy tamte dzielnice tak uważają za swoje, że nazywają je nawet „Nową Polską“.

„Alldeutsche Blätter“ nietylko więc w Europie, ale wogóle wszędzie zazdroszczą nam ziemi, słońca, powietrza: możności wegetowania.

Dlatego oprócz kwestyi polskiej w obrębie państwa niemieckiego wywołują już Wszechniemcy zamorską kwestyą polską, t. j. kwestyą wypierania Polaków zewsząd, gdziekolwiek się osiedlą, jak gdyby nie inne narody, ale jedynie Polacy stali im na zawadzie w rozwoju potęgi i szerzeniu pangermanizmu na dalekim przestworzu świata. Bo dlaczegóżby świat cały nie miał stać się germańskim? A potem? Możeby zapragnęli hakatyści germańskiego nieba?

Nie wystarczy tedy dla Wszechniemców, że dla Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich ustanowiono komisyą kolonizacyjną, pragną oni stworzyć ją i dla Parany, aby ratować tę dla niemczyzny tak ważną a tak bardzo przez Polaków zagrożoną dzielnicę. Sfery miarodawcze w Rzeszy niemieckiej mają sobie rozważyć, jak ważną byłaby dla Niemców kolonizacya tej prowincyi brazylijskiej.

Zbytecznem byłoby dodawać, że jeśli w Ameryce, to tembardziej w Berlinie upatrują Niemcy straszne niebezpieczeństwo ze strony Polaków. Jak donoszą pisma berlińskie, w berlińskich szkołach ludowych zarządzono dochodzenie w celu sprawdzenia, ile dzieci polskich umie mówić po polsku. Dochodzenia te wykazały w niektórych klasach 6—10 procent dzieci polskich. Niewątpliwie zatem usłyszymy niezadługo bombastyczne mowy o spolonizowaniu Berlina, a bodaj i całych Niemiec.

Biedne te Niemcy, że pomimo swej niby potęgi takim tchórzem są podszyte!

Pożądliwość niemiecka nie zna granic. Gdy rozeszła się parę dni temu wieść, że cesarz chiński umarł, a wobec tego zbliża się chwila podziału Chin, a Rosya zawarła przymierze z Japonią, aby niedopuścić Niemców do zdobyczy zbyt łatwej, urzędowy telegram niemiecki nie próżnował i na całym obszarze niemieckiego państwa odzywały się głosy, że w takim razie i Niemcy „swych praw“ wobec Chin nie ustąpią nikomu.

Wojna angielsko-transwaalska nie przyniosła Anglikom ani jednego zwycięstwa. W zeszłym tygodniu na głowę pobity został generał Buller, a poseł transwaalski, który obecnie bawi w Petersburgu, wyrzekł w Berlinie, że Boerowie nie prędzej zakończą walkę aż nie urwą Anglii kawałka wybrzeża. Bardzo to możliwe. Anglia zupełnie wyczerpana a żołnierze nie mają zaufania do siebie: swych dowódców. Fortece Kimberley i Ladysmith wpadną z pewnością w ręce Boerów. Tak sprawiedliwość dziejowa karze zbytnią pychę i zarozumiałość. Anglicy, tak samo jak Niemcy, do wszystkich i wszędzie mieli jakieś pretensye i wszędzie „żelazną pięścią“ grozili. Przyjdzie czas, że i żelazna pięść niemiecka w proch się rozsypie. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Odezwa „Ligi narodowej“ wywołała w prasie naszej liczne komentarze. Z pism pod zaborem pruskim wychodzących każde coprawda inaczej zapatruje się na ten dokument, wszystkie jednak odznaczają się jednomyślnością co do tego, że odezwa Ligi dla Poznańskiego najmniejszego praktycznego znaczenia nie posiada. Przytaczamy poniżej uwagi, jakie uczynił **„Orędownik“**:

„Dwie rzeczy trzeba w Odezwie Ligi rozróżnić:

„1) tajną ukrytą pracę inteligencyi Królestwa nad rozbudzeniem ducha narodowego i świadomości obywatelskiej w coraz szerszych warstwach ludu;

„2) po drugie dążność, żeby tę pracę skierowano ku odzyskaniu „jednej, wolnej i niepodległej Polski.“

„Co do pierwszego zadania, to owej tajnej, ukrytej pracy nie można potępiać, ani jej się dziwić. Jest to naturalny objaw, związany i z położeniem braci naszych pod cesarzem Mikołajem II i z prądem ogólnej kultury europejskiej. — Takie objawy znajdujemy w wszystkich narodach. Więc i u nas pojawiają się one. Co nasi rodacy w Królestwie czynią w ukryciu, tajnie, to my pod berłem pruskiem robimy publicznie i to korzystając z konstytucyi pruskiej, praw i urządzeń krajowych. O Galicyi zaś wcale wspominać nie potrzeba, bo tam mają zupełnie wolne ręce. Wszędzie chcemy i pracujemy nad tem, żeby utrzymać odrębność narodową i ten nasz charakter pogodzić z obowiązkami względem państwa, do którego należymy.

„Ze Odezwa nie jest wystosowaną do ludności polskiej w państwach austryackiem i pruskiem, to jest rzeczą jasną. Wyrosła ona na gruncie stosunków politycznych w Królestwie, i tylko w odniesieniu do tychże stosunków może mieć wyjaśnienie i uzasadnienie.

„Uważając ją za dzieło nie policyi lub działaczy prowokacyjnych, lecz za objaw usposobień pewnego grona obywatelstwa Kongresowego, albo nawet ściślejszego kółka patryotów, nie wahamy się jednakże uznać ogłoszenia Odezwy za błąd polityczny. Praca nad oświatą ludu, chociaż tajna i cicha nie potrzebuje zrywać z formami legalności. — Odezwa ogłoszona publicznie sprzeciwia się zasadzie takiej cichej, tajnej pracy — i daje policyi pretekst do nowych szykan i prześladowań.

„Dalszym błędem było rozesłanie Odezwy do Galicyi i Poznańskiego, gdyż te dzielnice nie potrzebują się posługiwać tajną pracą, mogąc jawnie bronić swej narodowości...“

My tu pod berłem pruskiem pracujemy dla sprawy narodowej otwarcie, śmiało występujemy w obronie naszego języka i praw narodowych, nawołujemy się nazwajem pod sztandar ojczysty i do walki o deptaną narodowość stajemy. Wchodzimy wprawdzie często w zatargi to z policyą, to z prokuratorem, ale leży to w samej naturze rzeczy i nie przeszkadza nam jawnie i głośno wyznawać, że tu w Prusach mamy prawo do odrębności narodowej i odrębności tej bronić potrafimy jawnie, bez maski. Nie potrzebujemy więc ani tajnych odezw, ani Ligi narodowej, bo jeśliby tylko każdy członek naszego społeczeństwa postępował tak, jak to mu prawa istniejące pozwalają, całe społeczeństwo nasze byłoby jedną Ligą Narodową i jest nią poczęści. Odezwy takie, jak warszawska, odczytujemy w gazetach naszych niemal codziennie, słyszymy je na wiecach, na zebraniach wyborczych. Jednem słowem my organizacyi tajnej nie potrzebujemy, bo możemy mieć jawną. Z tego więc względu odezwy Ligi Narodowej — nie przesądzając jej znaczenia dla Królestwa — pochwalić nie możemy, bo od owej Ligi, która ma dążyć do *jednej* Polski, możnaby chyba wymagać elementarnej znajomości warunków politycznej pracy w dwóch dzielnicach Polski rozerwanej t. j. Poznańskiego i Galicyi.

Zaznaczamy co do Królestwa to jeszcze, że chwila opublikowania odezwy była bardzo niefortunnie wybrana, bo przypadła właśnie na czas rozmaitych rewizyi żandarmskich, aresztowań, które nawet aż do sfer małoletnich uczniów gimnazyalnych sięgają. W zeszłym tygodniu taką o aresztowaniach nowych podał korespondencyę lwowski **„Ruch katolicki“**:

„I znowu rozegrał się ponury dramat na ulicy Warszawy. Już w poniedziałek rozeszła się wieść o aresztowaniu 30 studentów gimnazyalnych. Nie wierzyłem w pierwszej chwili. — Wogóle wiadomości tu krążące są tak gorączkowe, że trzeba je brać z zastrzeżeniami i ostrożnie. Niestety wiadomość owa była prawdziwa.

„W sobotę o 6-tej wieczorem w jednym z domów przy ulicy Chmielnej miało się odbyć zgromadzenie studentów celem wzajemnego poinformowania się, w jaki sposób należy kształcić lud i budzić w nim poczucie obywatelskie i oświatę; mianowicie miano dać dyrektywę tym studentom, którzy na wakacye powracają na wieś i mają z ludem styczność. Policya dowiedziała się o tem zamierzonem zgromadzeniu i już od rana obsadziła swymi ajentami ulicę Chmielną. Młodzież, czy przeczuwając, na co się zanosi, czy przestrzeżona, zebrała się zamiast o 6-tej dopiero o 10-tej wieczorem. Wpadła jednak w pułapkę. Aresztowano 10 dzieciaków i zawieziono do cydateli.

„Aresztowani studenci pochodzą przeważnie z gimnazyów prowincyonalnych. Dyrektor gimnazyum na Pradze udawał się do żandarmeryi, aby wyrobić uwolnienie dwóch celujących i wzorowo prowadzących się uczni. Napróżno.“

Gdy się zważy, że jeszcze nie wypuszczono uwięzionych niedawno w Warszawie kilkunastu literatów, gdy się obok tego postawi nowe aresztowania w guście powyżej opisanego, mimowoli publikacya „Ligi“ wygląda na to, jak gdyby jej kierownicy chcieli żandarmom powiedzieć: Myślicie, żeście nas złapali? Wcale nie — bo oto my jesteśmy na wolności — Aha!

Skłonić to tylko może władze rosyjskie do tem surowszego badania i poszukiwań pod hasłem: szukajcie a znajdziecie. Taka odezwa pożądaną jest bronią w ręku żandarmów, którzy się nią zastawiając mogą tysiączne uwięzienia usprawiedliwić słowem: szukamy a wiemy, czego szukamy.

W długiej litanii procesów, któremi uszczęśliwia prokuratorya pruska polskie pisma, miejsce bardzo wybitne zajmie proces „Kuryera Poznańskiego“, który się toczył w czwartek w ubiegłym tygodniu.

Ponieważ krytyka sądów jest wzbroniona, a każde słówko łatwo pod prokuratorski mikroskop wzięte za obrazę sądu uchodzić by mogło, ograniczamy się tu do podania referatu **„„Kuryera Poznańskiego“**, podkreślając miejsca, zasługujące na „karygodne“ uwagi na marginesie.“

„Nauczyciel p. Antlauf, katolik, zeznaje jako świadek, że rejencya przesiedliła go nie na jego wniosek, i nie wiadomo mu, z jakiej przyczyny — z Brachlina do Potrzebowa. Dalej opowiada: Pewnej soboty w maju z. r. szły dzieci szkolne z Brachlina na nabożeństwo majowe do kościoła parafialnego w Buczu. Na drodze biły się i hałasowały, dlatego w poniedziałek pytałem się dzieci, które to w sobotę, idąc do kościoła, biły się na drodze i ukarałem te, które zawiniły. Przytem pytałem się dzieci po niemiecku, jak mają iść do kościoła, ale one nie rozumiały tych słów, ponieważ wogóle prawie nic nie rozumiały po niemiecku. — Potem im powiedziałem (także po niemiecku): „Idziecie do kościoła, jak do świńskiego chlewa.“ (Dzieci natomiast opowiadały, że nauczyciel powiedział: „Zamiast do kościoła, idźcie lepiej do świńskiego chlewa“ — i tak też powtórzono to w „Kuryerze Poznańskim“).

„Na odnośne zapytanie prezydenta trybunału, czy kiedykolwiek wyraził się tak, jak napisano w „Kuryerze Poznańskim“, odpowiada pan Antlauf, że tego sobie nie przypomina. Pomimo nalegania prezydenta trybunału, żeby sobie dobrze przypomniał, czy tak powiedział lub nie, pomimo przedstawień, że powinien to sobie przypomnieć, że to przecież rzecz ważna, i czegoś takiego tak łatwo się nie zapomina, *pozostaje p. Antlauf przy swojem twierdzeniu, że tego sobie nie przypomina*, ***a wzbrania się odpowiedzieć stanowczo, że tego nie powiedział.*** Na ponowne zapytanie prezydenta trybunału, *czy by to było możliwem*, iżby tak się wyraził, odpowiada p. Antlauf, *że nie wie.* Na odnośne zapytanie, czy chodzi regularnie do kościoła, odpowiada, że bardzo rzadko chodzi do kościoła.

„*Świadkowie zeznawali bardzo niekorzystnie przeciw nauczycielowi.* Jeden z chłopców szkolnych na kilkakrotne pytania potwierdził, że nauczyciel wyrażał się do dzieci: „Ihr verfluchte Bande, ihr Schweinepolaken“. Sąd skazał redaktora „Kuryera“ *na 600 marek. Prokurator wniósł o dwa miesiące więzienia.*

Proces ten, jak sądzimy, ostatecznie rozstrzygnięty będzie w ostatniej instancyi — tymczasem radzilibyśmy panu Antlaufowi, aby zrobił tak, jak zrobił sławny hakatystyczny pismak Fink (autor „Der Kampf um die Ostmark“), który przeniósł się — do Kiautschau. Tu pana Antlaufa widocznie ocenić nie umieją dobrze, skoro przewodniczący uznał za stosowne wypytywać się go, czy chodzi do kościoła.

Interesujące zestawienie robi **„Dziennik Kujawski“**:

„Naczelny prezes Księstwa pan Bitter założył w Poznaniu także Towarzystwo ku popieraniu projektu podwojenia wojennej floty niemieckiej i doniósł o tem natychmiast telegraficznie Cesarzowi. Monarcha odpowiedział odwrotnie z Drezna — telegramem tej treści:

„Dziękuję Waszej Ekscelencyi za zawiadomienie mnie o tym patryotycznym objawie. Dałby Bóg, ażeby wraz z flotą niemiecką i sprawa niemiecka doznały tam pomyślnego rozwoju. Wilhelm“.

„Kuryer Poznański“ w artykule z okazyi urodzin cesarskich pisze, że Polacy jedynie w sercu Cesarskiem pokładają nadzieję wobec szerzącej się wkoło przeciwko nim nienawiści...“

Projekt powiększenia floty wojennej został już przedłożony parlamentowi niemieckiemu. Pisze z tego powodu **„Wielkopolanin“**:

„Nie pływaliśmy nigdy po morzach projektów flotowych, bo najpierw nie

mamy absolutnie interesu dla nich, a powtóre wiemy, że każdy taki projekt musi się odbić rychlej lub później na kieszeniach obywateli płacących podatki. Tej prawdy, tego nieuchronnego pewnika żadne dowodzenie, nic i nikt nie jest w stanie osłabić.

„Uchwalać takie projekty mogą ci tylko, którzy wiedzą, że z ofiar poniesionych dla urzeczywistnienia projektów, spłynie dla nich korzyść, czyli że ofiary i nakłady poczynione dla floty odrzucą im jakieś odsetki, czy to natury materyalnej lub też natury idealnej.

„A więc uchwalać mogą takie projekty Niemcy, marzący o wielkości Niemiec, lub wielcy przemysłowcy, spodziewający się, że z pomnożenia floty bojowej wypłynie rozszerzenie wpływów na niemiecki handel wszechświatowy.

„Nam, których traktują, jako obywateli drugiej klasy, na wielkości Niemiec nic nie zależy — przeciwnie, dzieje się tak, jak to słusznie stwierdzili nasi posłowie, że im więcej potęga Niemiec wzrasta, tem gorzej się nam dzieje, a od wielkiego handlu i od zamorskich interesów odcinają nas i miejscowe warunki i wogóle nasze mało samodzielne położenie ekonomiczne.

„Tak się sprawa ma z nowym projektem marynarskim, który oceniamy ściśle z stanowiska rzeczowego, nie mieszając do oceny ani kropelki jakiejbądź niechęci.“

Jakkolwiek przypuszczamy, że posłowie nasi, głosując przeciw marynarce, znajdą się w minimalnej mniejszości, radzilibyśmy im wytrwać na odmownem stanowisku — bo stosunków z centrowcami i tak już niczem nie naprawimy.

B. M.

Jaskółka.

O! nie uciekaj, czarna ptaszyno,
Skrzydełkiem rozpędź me czarne sny —
O! nie uciekaj, bo łzy mi płyną,
Wszakże wędrowcem jestem, jak ty!

Na świat rzucony srogim rozkazem,
Błąkam się senny śród nocnej mgły —
Chodź! — będziem śpiewać i płakać razem
Czym nie samotny tak, jak i ty?

Może ci gniazdko twoje rodzone
Z pustoty zniszczył człek jaki zły?
I mnie wydarto ojczystą stronę
I jam wygnańcem smutnym, jak ty.

Jeśli twe pisklę w srogą zawieję
Na nikłem gniazdku ze zimna drży,
Ja — mojem tchnieniem pierś mu rozgrzeję,
Czyż nie znam uczuć matki — jak ty?

Jeśliś widziała w życiu kolei
Mych drogich braci męczeńskie łzy,
Zanieś im małą różczkę nadziei,
Czyliż nie jestem ptakiem, jak ty? —

Ja już nie płaczę, jeśli tyrany
Z mojego kraju nie otrą krwi,
Aby wolności szukać wygnanej
Czyż nie mam nieba, tak jak i ty? —

B. Czerwieński.

Matka Bozka Gromniczna.

(Do illustracyi albumowej).

Dnia 2-go Lutego Kościół katolicki obchodził uroczystość N. Maryi Panny, którą lud nasz Matką Bozką Gromniczną zwie. Uroczystość ta jest pamiątką aktu, zaleconego przez prawo Mojżesza, spełnionego przez N. Maryę Pannę, która po narodzeniu swojego Syna, będącego zarazem pierworodnym, w czasie przez prawo oznaczonym, stawiła się w Świątyni Jerozolimskiej, aby dziecię swe ofiarować Panu, a zarazem i wykupić, w zamian ofiarować baranka, lub parę synogarlic. Ponieważ przy ofiarowaniu tem zaszły nadzwyczajne okoliczności, jako to: uznanie przez starca Symeona w dziecięciu przyniesionem obiecanego Mesyasza, z proroctwem, że dziecię to będzie światłem światła, Kościół katolicki okoliczności te podnosi i uroczyście poświęca świece, gromnicami zwane, będące symbolem nadprzyrodzonego światła, którem stał się nowonarodzony Zbawiciel. A jak światło fizyczne rozprasza ciemności nocy, tak i świece w dzień ten poświęcone, z wiarą i pobożnością zapalane w chwilach niebezpieczeństwa, wśród gwałtownej burzy i w godzinę śmierci przy konających, mają opowiadać, według ducha Kościoła Jego synom, że Chrystus Pan jest światłem jedynem, źródłem wszelkiej nadziei, odkupienia i zbawienia człowieka.

* * *

Nie tylko ludzie, lecz wszystko, co żywie, w Maryi Panny zostaje opiece; ona się światem troszczy dobrotliwie, muszką w powietrzu, drobną rybką w rzece, ptaszyną małą z pisklęty drobnemi, nawet robakiem, co wypełza z ziemi na Zwiastowanie, gdy się zbudzi wiosna; bo Ona świata jest Matka litosna!...

Dobytek ludzki ochrania od szkody i nawet wilki z żarłoczną paszczęką, w zimowe noce od wiejskiej zagrody odgania sama opiekuńczą ręką.

Święty Mikołaj, co je w ryzach trzyma, gdy spadną śniegi i nadejdzie zima, ich dziką hordę na części rozbija, aby za Jego wyłącznym nakazem na ludzkie dobro nie spadały razem; więc mają sobie działy wyznaczone i każdy idzie tylko w swoją stronę, gdzie mu wyznaczył Święty legowisko, od ludzi zdala, od siebie nie blizko.

A na Gromniczną, gdy się z kniei zwłóczą i jak rabusie po polach rozłażą, za łupem węszą, a złowrogo mruczą i między sobą na śniegu się swarzą i głodnym zębem kłapią i dokoła robią wyprawę na uśpione sioła, Panienka Święta staje im na drodze z gromnicą w ręku, wśród tumanów śniegu i wilcze stada zatrzymuje w biegu.

I tak na straży cichej wioski stoi, więc napaść przed nią cofa się i boi, i nie śmie naprzód iść, gdy światło zoczy...

Gdy wystraszone stado się rozskoczy, to w jaką stronę cofnie się wilczysko, w tę już umykać musi przed gromnicą; zielone ślepia wściekłością mu świecą, ale łeb zwiesza i wyciąga szyję, jak pies skulony chyłkiem w śniegu brodzi i w ciemne lasy spłoszony uchodzi.

Gdy w noc miesięczną wilki w polach wyją, ludzie się ze snu budzą z wielkim strachem i słychać szepty pod słomianym dachem:

— „W swoją obronę weźmij nas Maryjo!...“

I znów zasypia z tą ufnością wioska, że w śniegach nad nią czuwa Matka Bozka...

Maryan Gawalewicz.

Do młodej dziewicy.

Szczęśliwą jesteś, gdyż młodość twe skronie
Wiankiem niewinnej myśli okoliła,
Szczęśliwą jesteś, jak długo ci płonie
W dziewiczem sercu świeżych uczuć siła.

Niech cię Marya swą szatą otoczy
I stróż twój Anioł niech przy tobie stoi,
Niechaj łez smutku twe nie znają oczy,
Rajskie obrazy niechaj myśl twa roi...

O! śnij dziewico, śnij słodkie marzenia,
Dopóki młodość kwitnie ci na czole,
Bo ona minie — a los nasz się zmienia,
I przyjdą cierpkie tego życia bole.

I wciąż w wonne kwiaty strój czoło twoje;
Ciesz się przyjaźnią w rówienniczek gronie,
Spoglądaj w niebo, a chroń serce swoje,
By nieskażone biło w czystem łonie.

Cnotą wab oczy, a nie szat ozdobą,
Wdziękom dodawaj skromnością urody,
A one serca powiodą za tobą,
I skorem szczęściem wiek obdarzą młody.

Bo patrz jak wabi do siebie lilija,
Fiołek wonny, w barwy niebogaty —
I bez zachwytu nikt ich nie pomija,
Bo to są skromne i tem piękne kwiaty.

Więc kwitniej dziewczę jako lilja biała,
Wdzięki fiołka niechaj pierś twa żywi,
A będziesz wyżej od twych siostrzyć stała,
Bóg cię ukocha — i ludzie uczciwi.

I ziemię ojców niech serce ogarnie;
Jeszcze Najświętszą umiłuj Maryę,
A życie twoje nie przeminie marnie,
Bo możesz wyrzec: ja kocham, więc żyję!...

H. S.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Ogród w Zaskalu nie był wielki. Jak już wam pierwej opisałem, główną jego ozdobę stanowiła długa ulica z starych i rozłożystych lip, a tak obszerna, że za nieboszczyka Chorążego, w czasie wielkich zjazdów, zastawiano tam stoły dla gości. Pod oknami starego dworu rozciągał się ogródek kwiatowy z kilku klombów i kwater złożony, pielęgnowany przez Kostunię, wielką kwiatów lubowniczkę, o której pan kamerjunkier Artur Ketteler z salonową galanteryą opowiadał, że wygląda jakby kwiatów bogini, Flora. Minąwszy ogródek kwiatowy i ulicę lipową, wchodziło się do sadu, który w lekkiej pochyłości zbiegał do małego wąwozu skalistego, z którego tryskało kilka źródeł strumykiem, bieżącym ku granicznemu potokowi. Po drugiej stronie wąwozu, mostkiem małym z ogrodem i sadem połączony, na wzgórzu był gaj brzozowy, jakby dalszy ciąg ogrodu, poprzeżynany ścieżkami, naumyślnie do przechadzki urządzonemi. Na samym najwyższym wzgórza cyplu stały dwie brzozy najwyższe i najstarsze, wiszącemi gałęziami schylone po nad skalistem urwiskiem. Śliczne to było miejsce i śliczny rozciągał się ztamtąd widok na miasteczko naprzód, i na zielone łany podolskie i kilka wiosek, bujną zielonością umajonych. Miejsce to prócz piękności sielskiej, sobie właściwej, miało jeszcze i pamiątkowy powab dla Kostuni; gaj ten bowiem, na pamiątkę jej matki, a córki rotmistrza ulubionej, miał nazwę „Marysin gaj“ i stary rotmistrz postawił tam za lat dziecinnych jeszcze ukochanej Maryi małą kapliczkę murowaną, z wizerunkiem Matki Bozkiej Poczajowskiej, przed którą co piątek i sobotę gorzała lampa, w nocy widna zdala, gdyby gwiazda jasna. Kamienne schodki, wiodące do kapliczki, były ulubionem siedzeniem Kostuni. Na niem to Kostunia przedumała niejednę z owych chwil dziewiczych, tęsknych i rozmarzonych, w tęczowe barwy młodej wyobraźni strojnych. Dzieje jej marzeń i myśli samotnych rozsypane tam były po gałązkach i liściach brzóz płaczących i nieraz zdawały się jej szemrać głosem i słowy znajomemi.

Tam przybiegła szybkim krokiem Kostusia po rozmowie ze sprawnikiem. Może chciała wymodlić swą trwogę, przyszła szukać rady i pociechy u tej kraju i dworu polskiego Orędowniczki?...

Lecz nie!... Kostusia była szczerze nabożną; tym razem wszakże inna jakaś myśl, więcej ziemska, więcej samoistna promienieje w błyszczących oczach. Zadyszana szybkim biegiem, stanęła na najwyższym schodku, a oparłszy się o kratę, co zamykała kapliczkę, wzrok swój wytężyła naprzód, jakby czego śledziła lub oczekiwała.

Tuż naprzeciwko, jak wyżej mówiłem, rozciągały się porozrzucane miasteczkowe domostwa; niknące po większej części w wielkim wąwozie skalistym, sterczały najwidomiej samemi prawie dachami swemi. Z jednej tylko strony od Zaskala występowało wyraźniejszemi zarysami kilka dworków, niżej położonych. Były to same stare, dosyć obdarte, jak się to zwykle zdarza po miasteczkach naszych, i niekoniecznie schludne domki, odznaczone skalistemi podstawami, co im nadawało trochę starożytnej powierzchowności. Z pomiędzy tych dworków, ociemnionych czasem i zaniedbanych, po nad samym prawie potokiem wznosiło się nowsze domostwo, bielejące większym porządkiem i dbałością, pokryte dachem nowiuteńkim, jakby ozłoconym od promieni słonecznych. Domostwo to przydłuższe, sterczące kilku kominami, miało w swej powierzchowności coś fabrycznego, jednostajnego. Jedyne powabniejsze urozmaicenie stanowił jeden róg domostwa, najdalej wysunięty, murawą zieloną i kwiatami starannie utrzymywanemi otoczony. Ta część domu wyglądała tem przyjemniej i weselej, że kilka w niej okien wielkich i szerokich, przepełnionych mnóstwem kwiatów w doniczkach nadawało domowi podobieństwo oranżeryjne.

Owóż Kostusia stanąwszy przy kapliczce, zwróciła oczy swe ku temu domostwu, i z dziwnym uporem wpatrywała się w okwiecone okno; a nawet przez chwilę podrzuciła białą chustkę, i poruszała nią z wyrazem niecierpliwego niepokoju. Wyraz ten wzmagał się nawet na jej twarzy coraz posępniejszej, gdy nagle uśmiech... uśmiech taki jakiś błogi i radosny — roztworzył śliczne usta dziewczyny, a oczy jej odbiegły od długiego domostwa i zwróciły się na grobelkę, o której już była mowa, dzielącą miasteczko ode wsi.

Z poza młynka, stojącego na małem zagięciu tuż koło potoku wystąpiła postać idącego szybkim krokiem mężczyzny. I jego oczy zwróciły się ku brzozom i kapliczce i podobny uśmiech rozjaśnił twarz mężczyzny, i dwie chustki białe, od kapliczki i od młynka wionęły lekkim ruchem ku sobie. Idący mężczyzna zbiegł szybkim krokiem z grobelki, zostawiając gościniec do wsi wiodący na boku i zwrócił się na małą ścieżkę po nad brzegiem potoku, strumyk z góry sterczący przeskoczył i po sterczących na jednej urwiska ścianie skalistych płytach, jakby po szczeblach drabinki, piął się prosto do kapliczki, do brzóz płaczących i do stojącej między niemi dziewczyny.

Choć to może nie po raz pierwszy było, Kostusia wzdrygnęła się mimowolnie, wyraz przestrachu wybiegł na twarz i przycisnęła ręce do piersi, jakby chciała powstrzymać bijące ze wzruszenia serce. Ależ bo w rzeczy samej droga, którą idący wybrał, jakkolwiek była krótsza, nie była bez niebezpieczeństwa. Urwisko było strome, a kamyki nieregularnie wystające, tak nie wielkie, że drapiący się bardzo łatwo za lada krokiem fałszywym mógł spaść z kilkosążniowej wysokości w głąb urwiska, sterczącemi kamieniami najeżonego. Kostusia wyciągnęła ruchem, od myśli pierwszym, rękę, którą wskakującemu na górę podała, jakby mu pomódz chciała. Było to przywitanie pełne wdzięku naturalnego; na twarzy dziewczyny rumieniec wzruszenia walczył z uśmiechem pewnego zadowolenia wewnętrznego. Odwaga mężczyzny ma zawsze dla kobiety powab niepospolity.

— Panie Stanisławie — przemówiła Kostusia z wyrazem troskliwej wymówki — prosiłam pana tyle razy....

— Abym się nie spieszył do pani?...

— Ale nie z niebezpieczeństwem złamania karku...

— Idąc do dziadzia pani, który mnie powołał do siebie, ujrzałem panią...

— Czekającą na pana!... — zaczęła z uśmiechem, ale twarz jej przybrała nagle wyraz poważniejszy; — czekającą tym razem z niecierpliwością — dodała z pospiechem.

Mówiąc to podała mu po raz drugi rękę, którą przybyły uścisnął z wyrazem uszanowania. Prócz tego wyrazu może i inny jeszcze wyraz zabłysnął w oczach przybyłego, lecz był to wyraz prawdziwie błyskawiczny, który ledwie zajaśniał już i znikł. Wystąpił natychmiast na twarzy jego wyraz niepokoju z jakim przemówił:

— Jest więc co nowego?...

— Panie Stanisławie! — przemówiła Konstancya głosem niepewnym z początku; lecz wnet przemogła chwilowe wzruszenie i twarz dziewczyny zajaśniała wyrazem energii, który tę piękną twarz dziewiczą dziwnie uszlachetnił.

— Przyszła chwila stanowcza!... słuchaj pan... był u mnie sprawnik!...

— U ciebie, pani?...

— Był pierwej u dziadzi: potem przyszedł do mnie...

I zarumieniona nie błahym wstydem słabej kobiety, ale oburzeniem prawdziwej polskiej niewiasty, opowiedziała całą swoją z Pawłem Onufryjewiczem rozmowę.

Stanisław Wydra — on to był bowiem, jak się zapewne czytelnicy już domyślili, słuchał w milczeniu i z uwagą. Przy pierwszych słowach, spojrzał na mówiącą z wyrazem tak iskrzącym i ognistym, że się go może sam przestraszył; to też co prędzej spuścił oczy i tylko lekkie drżenie i kurczowe ściśnięcie pięści zdradzało wewnętrzne słuchającego wzruszenie, które i na twarzy występowało widomie, to rumieńcem, to bladością.

Stanisław Wydra, mieszczanin, garbarz, jak się to już dowiedzieliśmy z rozmowy rotmistrza ze sprawnikiem, był młodym człowiekiem jeszcze, chociaż na twarzy bladej i chudej widać było ślady życia, pełnego ciężkich trudów i do-

świadczeń. Na tej twarzy był wyraz, właściwy ludziom, którym nie urodzenie, nie szczęście przypadkowe sprzyjało, ale którzy sami sobie winni posadę towarzyską, jaką zdobyli mnogiemi z losem zapasami. Twarze takie są odznaczone piętnem pracy podwójnej: pracy fizycznej i pracy umysłowej. Praca fizyczna zdziera z takich twarzy urok młodości i świeżości, pod naciskiem takiej pracy twarz nawet — możnaby powiedzieć brzydnieje. Ale zato piękniej, czyli raczej szlachetnieje odbiciem tej wewnętrznej pracy umysłowej, która na swych ulubieńcach i ofiarach razem, piękność ciała zastępuje pięknością myśli.

Takim był Stanisław Wydra, prosty garbarz w małem miasteczku podolskiem. Dla obojętnych, co nie umieją wejrzeć przez skórę do głebi, Stanisław był brzydkim nawet; rysy jego twarzy o cerze żółtawej, ogorzałej, o kościach sterczących pod okiem, o policzkach zapadłych, takiemu salonowcowi bezgłowemu i bezsercowemu mogły się wydać pospolitemi — chłopskiemi nawet wedle kamerjunkra Artura, godnego synalka pana markiza — zmoskwiczonego Niemca — który pełen wyobraźni o arystokratyczności krwi karmazynowej, pod którą się z lubością podmywał — mawiał zawsze:

— Chłop zawsze chłopem, choćbyś go umył, ufrakował, uperfumował, i doktorską nawet nań wsadził togę.

Ale kto sam posiadacz duszy, szukał duszy w drugich, musiał przyznać patrząc na Stanisława, że z tej twarzy o rysach wielkich, odznaczonych, z czoła wedle estetycznych formułek zanadto może rozszerzonego, z oczów głęboko osadzonych, ciemnych, wielkich i promienistych, bije myśl wyższa i uczucie szlachetne. Była to jedna z tych twarzy, które raz ujrzawszy, nie łatwo zapomnieć. Przykładała się do tego i ta jeszcze szczególność, która nieraz uderza w dzieciach ludu. Przy ciemnych oczach miał włosy jasne, nadzwyczaj bujne, i jeszcze jaśniejsze, ledwie nie dziecinnej białości wąsy, rozchodziły się dwoma gęstemi smugami nad ustami może za wielkiemi, ale bardzo kształtnie wykrojonemi. Obok energii oczów i czoła, te jasne wąsy, towarzyszone uśmiechem pełnym słodyczy, zdawały się znamionować serdeczną dobroć obok męzkiej, niespożytej siły. I cała postawa średniego wzrostu, ale żylasta, skupiona i silna, harmonizowała doskonale z wyrazem głowy.

Takim był młody garbarz, o którego życiu kilka tylko słów dodamy. Ojciec jego miał chatę w miasteczku i był szewcem, robiącym owe ogromne buty, jakiemi się u nas odznaczają nasze małe jarmarki miasteczkowe. Wesołego i żywego usposobienia, tak się podobał naszemu rotmistrzowi gdy był jeszcze młodym, że razu jednego przemówił do niego:

— Fedory... — może pójdziesz ze mną; tam się biją!

— Biją się? — zapytał zdziwiony Fedory.

— A biją się z Moskwą!...

— Z Moskwą!... Cudny Boże, toć mamy jeszcze polskich szewców — wyrzekł Fedory z wesołym uśmiechem — a więc pójdę i będę bił także i to już nie pocięglem...

— Jak rzekł, tak zrobił; sporządził dla siebie na urząd parę butów i jak rzekł, tak bił należycie wszystkich wrogów wielkiego Napoleona. Bo w głowie Fedorego Napoleon Polskę przedstawiał...

Nie mało nabrawszy guzów w wojaczce, którą raz jeszcze powtórzył w r. 1831, nagle zatęsknił za domem i życiem domowem.

— Panie, ja się ożenię...

— A to się żeń — odrzekł rotmistrz — choć może już jesteś za stary do tego.

— Ale zato Handzia młoda!...

Ożenił się, miał dzieci mnóstwo, ale te mu wszystkie pomarły, prócz Stanisława, którego rotmistrz trzymał do chrztu. A gdy umarł, stary rotmistrz pochował go i po śmierci matki, która swego męża niedługo przeżyła, zajął się Stasiem. Gdy był jeszcze dzieckiem, choć go ojciec chciał na szewca kierować, Staś nauczył się czytać u Kapucynów. Młodym będąc chłopcem mawiał zawsze:

— Będę rzemieślnikiem, ale i nauki nie porzucę.

— To też staraniem rotmistrza przebył niższe szkoły w kraju, a że miał zdolności do nauk technicznych, wysłał go rotmistrz zagranicę.

Staś choć chłop miał hardą duszę i z łaski rotmistrza co do pomocy pieniężnej jak najmniej korzystał.

— Ja dziecię ludu!... z pracy powstałem, pracą sobie przyszłość zdobędę.

I dotrzymał słowa. Terminował, sługiwał, wędrował, aż wreszcie wrócił do kraju i przyjąwszy pomoc od rotmistrza otworzył garbarnię, urządzoną na sposób zagraniczny, choć zastosowaną do kraju, w której wielu ludzi biednych zatrudniał i wielu biednym ludziom dawał utrzymanie. Garbarnia jego, w chwili kiedy się rozpoczęło nasze opowiadanie, miała już sławę ustaloną i była w stosunkach z samą Warszawą. Stanisław był ulubieńcem rotmistrza, który go chętnie widywał u siebie, rozmawiał z nim z przyjemnością i nieraz za przykład stawiał.

— Wszystko to prawda — zauważał nieraz pan markiz, który nie mógł się wstrzymać od arystokratycznego skrzywienia, ile razy go spotkał u rotmistrza i musiał się z nim witać, przez wzgląd na dziadka Kostuni. — Człowiek zdolny, pracowity, ale pozwól rotmistrzu, że ta poufałość jest ubliżającą *pour nous autres!...*

— *Vous autres!* — odpowiadał rotmistrz — jesteście najśmieszniejszym anachronizmem w dziejowym świecie.

— Dziś, jak wczoraj i jutro, każdy musi być na swojem miejscu... Mieszczanin jest zawsze mieszczaninem!

— Ten mieszczanin, panie i dobrodzieju, jest tak dobrze synem tej ziemi, obywatelem polskim, a może lepszym, niż asindziej!... a nawet lepszym, bo on jest Polakiem i sercem i duszą!...

— To są panie rotmistrzu słowa tylko...

— I stać się muszą ciałem, jeżeli stanąć mamy kiedy odrodzeni i oczyszczeni z waszych głupstw, które dosyć drogo przypłaciliśmy. Mój panie i dobrodzieju, nie na asindzieju i na jemu podobnych, ale na takich jak mój Staś przyszłość nasza spoczywa.

— Zobaczymy!... Zobaczymy! — kończył urażony markiz i tem dumniej i pogardliwiej spoglądał na Stanisława, który — by prawdę wyznać — nic sobie z tego nie robił i równą dumą odpłacał dumę p. Markiza i jego synalka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ORZEŁ.

Jestem królem na błękicie,
Tutaj wolne pędzę życie,
W słońcu kąpię skrzydła moje;
Bujam śmiało ponad skały,
Mnie nie trudzą burze, znoje:
Jam bez trwogi, jam wytrwały.

Niechaj kruki i gawrony,
Niech drży cały zatrwożony
Ród skrzydlaty: dla mnie burze,
Walki dla mnie są żywiołem,
Miejsce moje jest tam — w górze!
Sowy, wrony, kruki dołem.

Ostre, twarde moje szpony,
Wzrok mój nigdy nie strudzony,
Z dala ujrzę wrogów sidła,
Okiem wzgardy wskroś ich zmierzę,
Zjeżę szpony, złożę skrzydła:
Jak grom wrogów mych uderzę!...

Za mną orły i orlęta!...
Niech drży strzelców czerń przeklęta!
Dalej! wzlećmy śmiało w chmury,
Ryczy burza, my bez trwogi
Jako piorun padniem z góry:
I zwyciężym nasze wrogi!..

H. S.

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

ROŻDIAŁ CZWARTY.

Zamek Suzwold należał już od dawna do rodziny Marstonów, a poprzednicy sir Johna starali się zawsze o upiększenie zamku i parku, tak, że z dalekich nawet stron zjeżdżali się lubownicy sztuki ogrodniczej i oglądali z zachwytem przepyszne urządzenie ogrodu i parku.

Obecny właściciel, sir John, ożenił się w młodym wieku z piękną, ale ubogą lady Heleną Burton, i żył z nią w najszczęśliwszem małżeństwie. Po długich dopiero latach obdarzył ich Bóg córką, i od tej chwili stała się Helenka największym ich skarbem. Nie odmawiali jej też żadnego życzenia, a jeżeli dziewczynka pomimo to pozostała dobrą, serdeczną i łagodną, to wynikało to jedynie z jej szlachetnego charakteru, rodzice bowiem czynili wszystko, co mogli, aby ją o ile możności rozpieścić.

Lady Marstone miała brata, który był pułkownikiem, odkomenderowanym na Maltę. Tutaj ożenił się z Hiszpanką, a jedyna córka ich, Janina, żyła sama po śmierci matki z ojcem, i pielęgnowała go troskliwie. Podczas podróży do Anglii umarł pułkownik, Janinę zaś, wówczas ośmnastoletnią, wezwała lady Marstone do Suzwold, i zastąpiła jej, jak umiała, wcześnie straconych rodziców. Wszyscy pokochali wkrótce biedną sierotę, mianowicie Helenka, która, młodsza o trzy lata od kuzynki, przywiązała się do niej z całym zapałem swego młodziutkiego serduszka. Obiedwie kuzynki bardzo się pod każdym względem od siebie różniły. Helenka, jasnowłosa, delikatna, robiła zupełnie wrażenie dziecka, podczas kiedy Janina odziedziczyła całkiem południową piękność swej matki. Czarne, bujne włosy otaczały twarz białą, lekko tylko zarumienioną, a wielkie ciemne oczy i małe, mocno czerwone usta zdradzały ognistą krew Hiszpanki. Poważna, zdolną była do największego poświęcenia, Helenka zaś, żywa i wesoła, kierowała się zawsze porywem fantazyi i żyła tylko chwilą obecną.

Kiedy skończyła lat siedemnaście, zaszedł wypadek, mający wywrzeć tak wielki wpływ na całą jej przyszłość. Jeden z starszych przyjaciół ojca, lord Chesley umarł niespodziewanie i tak nagle, że jedyny syn jego, bawiący właśnie za granicą, nie mógł już być powołanym do łoża śmierci. Stary lord wielkim był dziwakiem — od wielu zaś lat zaniedbywał swój zamek Ashbruk w taki sposób, że architekci żądali teraz przynajmniej dwóch lat czasu, zanim by go dokładnie wyrestaurowali i zanim by lord Artur Chesley mógł w nim zamieszkać. Sir John zaprosił więc młodego sąsiada do swego domu i ofiarował mu goscinność dopóty, dopóki zamek Ashbruk ukończonym nie będzie. Artur przyjął chętnie uprzejme zaproszenie, i chociaż nie mieszkał stale w Suzwold, to przebywał tu jednak długo i często. Sir John i żona jego polubili niezmiernie pięknego młodzieńca, nigdy im przecież nie przyszło na myśl, aby Artur miał zostać ich zięciem! Helenka okazywała mu jawnie tyle przywiązania, że nikt nie przypuszczał, aby się za tem głębsze uczucie kryć mogło, i nikt też nie zauważył, jak serce Artura coraz to więcej zwracało się do Janiny. Ona zaś jedynym była magnesem, który młodego lorda zatrzymywał w zamku, i uczucia jego nie były bez wzajemności! Janina pokochała go również całą siłą swego szlachetnego serca, tydzień przed ową ciężką chorobą Helenki wyznał Artur Janinie swoją miłość i uzyskał od niej przyrzeczenie zostania jego żoną. Długo trwała rozmowa zakochanych, którzy zajęci swem szczęściem nie zważali na szybko mijające godziny. Nagle zerwała się Janina i spojrzała na zegarek.

— O Boże! — zawołała, — jak to już późno! Nie zdążymy na obiad!

Wracając do domu, układali świetne plany na przyszłość — żadna chmurka nie groziła ich szczęściu i miłości. Artur zamierzał tego dnia jeszcze, wieczorem, prosić lorda Marstona o rękę siostrzenicy, i nie wątpił ani na chwilę, że tak lord jak i żona jego powierzą mu ją chętnie. Ale zaledwie weszli do przedsionka zamkowego, gdy lady Marstone, blada i ze łzami w oczach, wybiegła na ich spotkanie.

— O, dobrze, że wracacie, — wołała, załamując ręce, — Helenka zachorowała nagle!

Janina, rozpromieniona i szczęśliwa, zadrżała na te słowa, i zapominając o narzeczonym, myślała teraz już wyłącznie o kuzynce.

— Cóż jej się stać mogło, — rzekła przerażona. — Wszakże dziś rano zupełnie jeszcze czuła się zdrową!

— Ale teraz jest ciężko chorą! Proszę cię, pójdź ze mną do niej i przekonaj się sama!

I tak było w istocie. Helenka leżała w gwałtownej gorączce, a przywołany natychmiast lekarz skonstatował nerwowo — gastryczną febrę, wywołaną silnem zaziębieniem.

Wskutek tej niespodziewanej choroby nie mógł Artur mówić z strapionymi rodzicami o swoich sprawach sercowych, a każdy dzień zwiększał niebezpieczeństwo, w jakiem się Helenka znajdowała. Chciał nawet wyjechać, ale sir John nie przystał na to, twierdząc, że obecność jego nikomu nie przeszkadza, a dla niego wielką jest pociechą. Ale w tych dniach smutku widywał Artur rzadko Janinę, i krótkiemi były chwile, w których mógł jej szepnąć kilka serdecznych słów. Nik więc nie miał wyobrażenia o tem, że byli narzeczonymi, najmniej zaś owe rozpieszczone dziecko, które, przekonane, że musi umrzeć, wyraziło swoje niedorzeczne życzenie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Z konwulsyjnem łkaniem rzuciła się Janina na krzesło, gdy teraz z Arturem weszła do sali jadalnej. Artur stał przed nią, a twarz jego blada i zmieniona, najwyższą wyrażała rozpacz.

— Powiedz mi kilka słów pociechy, Janiu! — zawołał ochrypłym głosem. — Co my teraz oboje mamy uczynić? Zdaje mi się, że rozum stracę!

Ale Janina spojrzała na niego bezradnie i spuściła głowę.

— Daremnie o tem mówić, — szepnęła. — A ja, ja namówiłam cię do tego, Arturze! Och, daruj mi! Nie żałuję niczego — nie śmiem żałować, bo to ocaliło jej życie!

— A nasze zatruło, — dodał z goryczą. — Helenka dobrem i miłem jest dzieckiem, ale Bóg mi świadkiem, że byłbym wolał poświęcić jej moje życie, niż moją wolność. Pojmujesz ty całą grozę tego, co się stało?

Janina wstała, zbliżyła się do niego, i zbierając całą siłę woli, rzekła spokojnie:

— Odpocznij trochę i staraj się zebrać myśli. Albo chciałbyś może co zjeść? Później pomówimy znowu o tem. W tej chwili jednak nie wolno nam myśleć o nas — najmniejsze wzruszenie mogłoby zagrozić życie Helenki, więc przez wzgląd na nią musimy być cierpliwymi.

Poszła potem do bufetu, nalała kieliszek wina, i przyniosła mu go, on jednak cofnął się niechętny i gniewnie zmarszczył czoło.

— Daj pokój, — rzekł szorstko. — Zanadto jestem rozdrażniony i rozpaczony, aby módz jeść i pić. Najpierw muszę wynaleźć drogę, która mnie wyprowadzi z tego okropnego położenia. Ach, Janiu, czemuż zgodziłem się na twoje żądanie?

— Sądziliśmy, że postępujemy słusznie, — odpowiedziała cicho. — Czy mogliśmy przypuszczać, że wszystko tak inaczej wypadnie? Wszakże odmowa twoja byłaby ją natychmiast zabiła! Pomyśl tylko o biednych jej rodzicach!

I pomimo, że usiłowała zachować spokój i panować nad sobą, spływały gorące łzy żalu nad utraconem szczęściem po bladej, słodkiej twarzyczce dziewczęcia.

— Och, Janiu! Gdybym mógł wymazać wypadki ostatnich godzin mego życia. Mieliśmy jednakże najlepsze zamiary, ale nie postąpiliśmy tak, jak się należało. Nie powinienem był się pod żadnym warunkiem zgodzić na jej życzenie. Bądź co bądź, kłamałem, a kłamstwo mści się na mnie okropnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SZEWCZYK SZCZYGIEŁ,

konfederat.

(Szkic z przeszłości).

Skreślił Henryk Mierzeński.

(Ciąg dalszy.)

III.

Msza święta.

Z wielce zacietrzewioną i tajemniczą miną sunął szanowny bakałarz Wukała pyzdrskim rynkiem ku kościołowi. Burą czuprynę naburzył, do nosa pchał co chwila świeże warstwy tabaki, a lewem okiem niepospolicie coś mruczał...

O! to wszystko było niedobrym znakiem, pan bakałarz musiał coś nadzwyczajnego odkryć, nad czem już pewnie kilka nocy medytował, bo od dawna nie widzano go tak zakłopotanego i zacietrzewionego jak dziś.

— Hm... hm... — mruknął, łypnąwszy małemi, siwemi oczkami w miejsce pod kościołem, zwane „Starem cmentarzyskiem“, — ta to tam już nie mała kupka bab się zebrała...

— Hm... — dodał, i cały łut tabaki wpakował do ogromnego, chropowatego nosa — ale ręczę, że jeszcze o niczem nie wiedzą...

— Wlecę jak bomba, i wysypię cały wór nowin i nowinek!...

Tu uśmiechnął się szanowny bakałarz, jak to nieraz zwykł czynić na wspomnienie tłustych pirogów, których niepospolitym był zwolennikiem — uśmiechnął się, ale tą razą nie na wspomnienie pirogów, ale „na nowinki“, które dla niego niezwykły jakiś miały urok... To słowo było najulubieńszem z całego słownika mózgowego, szanownego pana Wukały, o niem marzył w snach nocnych i poobiednich, a w szkole najczęściej je kazał odmieniać umęczonym swoim pauprom...

Na wspomnienie więc ulubionego tego słowa, zabiło mocno serce w piersi pana bakałarza, a do nosa wjechał z tryumfem nowy ładunek tabaki.

— Ha! ha! ha! — uśmiechnął się z zadowoleniem pan Wukała — nowinki, nowinki! a ręczę, że jeszcze o niczem nie wiedzą...

I przyspieszył szanowny bakałarz kroku, bo właśnie wydzwonił mu w kieszeni duży cebulkowy zegarek godzinę dziewiątą zrana, a na starem cmentarzysku coraz to więcej osób przybywało, i coraz to większy gwar powstawał.

Wreszcie stanął zadyszany i zasapany koło kościoła, przed plebanią,

— Nieszczęście! — krzyknęła mu na ucho pani Maciejowa.

— Nieszczęście! — powtórzyła pani Bartłomiejowa i załamała ręce.

— Okropne, wielkie nieszczęście! — zawtórował cały chór niewiast pyzdrskich — aż szanowny bakałarz zadrżał.

— Co?!... — zawołał przerażony — to wy już o wszystkiem wiecie?! szkoda!... a ja myślałem, że wam nowinkę powiem!

— Oj, wiemy już, wiemy! — zawołała z rozpaczą pani Maciejowa — a ja nie darmo nie mogłam zasnąć tej nocy, bo mi ciągle przed oczyma stawał kochany mój Maciuś!...

— A mnie Kubuś!

— A mnie mój luby Bartek!

— Nieszczęście, nieszczęście! — westchnęła żałośnie pani Bartłomiejowa, a pan Wukała mrugnął złośliwie okiem i coś szepnął pani Kowalowej na ucho...

Wtem nowy rozruch wszczął się w małych drzwiach „Starego cmentarzyska“! stary, siwy pleban ukazał się na swojem podwórku i kroczył ku dzwonnicy; obok której właśnie teraz walna narada się odbywała.

Szmer rozległ się po całem zgromadzeniu, głośne rozmowy i wykrzyki ucichły i wszyscy z wytężoną ciekawością oczekiwali zbliżenia się kochanego dobrodzieja, który wszędzie w radzie czy w zwadzie umiał zwaśnione umysły złagodzić.

Ksiądz Eustachy, pleban pyzdrski, był jedną z tych rzadkich, biblijnych postaci, z siwą jak gołąb głową, o pięknej, szlachetnej twarzy, w której malowały się na przemian: słowiańska dobroduszność i szczerota, i wrodzona pięknym takim duszom, religijna szlachetność.

Przed trzydziestu laty osiadłszy na ubogiej pyzdrskiej plebanii, prędko się zapoznał i polubił poczciwych swoich parafian; od wszystkich też szanowany i kochany, przywykł tak już do swego ulubionego ubogiego dworku i do małego obok, cienistego ogródka i starego pyzdrskiego kościołka, tak z tem wszystkiem zrósł się i oswoił, że trudno by mu przyszło z tem wszystkiem się rozłączyć. Czy bywało kto zasłabnie, a tu nie masz w domu potrzebnych leków, doświadczonej rady, toć zaraz z prośbą i poradą do plebanii. Siwy ksiądz Eustachy wszystkiemu zaradzi, na wszystko znajdzie jakieś leki, jakieś dobre i użyteczne ziółko, które niezawodnie słabość odwróci. Albo znowu gdy nędza, straszna nędza zajrzy do ubogiego mieszczańskiego dworku, gdy głód przyciśnie biednych jego mieszkańców, któż im poda pomocną rękę, kto zbierze składkę, wyciągnie z nędzy i ubóstwa, jak nie ksiądz Eustachy?... Słowem poczciwy pleban pyzdrski był wszystkiem w całem miasteczku — i dlatego też swego poświęcenia i szlachetnej dobroci, zyskał sobie miłość i poszanowanie parafian, których właśnie przedstawiciele, po większej części płci żeńskiej, zgromadziwszy się na „Starem cmentarzysku“, oczekiwali przybycia swego dobrodzieja.

Stary pleban powolnym krokiem kroczył przez podwórze; twarz miał uradowaną, rozjaśnioną, czasami tylko, gdy spojrzał ku cmentarzowi, zachmurzył czoło, i z wewnętrznym bólem potrząsnął głową.

— Otóż teraz wszystko się wyświeci — szepnęła pani Jakóbowa — kochany nasz dobrodziej wszystko pewnie będzie wiedział...

Szmer zadowolenia rozszedł się po całej drużynie — gdy wtem ozwał się dźwięczny głos pana Macieja:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków!...

— Cóż to — ozwał się po chwili pleban, gdy po chrześciańskiem przywitaniu niewiasty pobożnie się przeżegnały — widzę żeście się tu dość licznie zgromadziły, czy może jakie nieszczęście, wypadek?!...

Krzyk i gwar rozległ się po całem zgromadzeniu — nareszcie wystąpił z powagą pan bakałarz i orzeźwiwszy nos swój potężnym ładunkiem tabaki, wyjaśnił o co rzecz chodzi, opowiedział nieprzewidziany i tak raptowny wyjazd wszystkich prawie obywateli rzemieślniczych i przedstawicieli miasta Pyzdr, a w końcu dodał coś o owym tajemniczym gościu z białą długą brodą, który jeszcze wczoraj w nocy, po naradzie u pana cechmistrza kowalskiego, opuścił miasteczko...

Stary pleban słuchał długiego opowiadania pana Wukały — a gdy ten skończył, uśmiechnął się lekko, jakby usłyszał rzeczy najzupełniej mu wiadome, i po chwili rzekł:

— Wasi mężowie poszli tam, gdzie teraz każdy prawy Polak spieszyć powinien — poszli bić się za ojczyznę, gromić wroga!...

...Nadeszła chwila odrodzenia się w narodzie — wszyscy wstępują w szeregi walczących za uciśnioną ojczyznę! A kto stoi nieczynny i patrzy, rychło przyjdzie drugi, z silniejszą ręką i obszerniejszą piersią, któryby go w szeregu zastąpił, ten niewart zwać się godnym synem tej naszej obszernej ojczyzny, ten niewart stąpać po świętej naszej ziemi, i kalać ją stopami wyrodka!...

...Ufajcie, módlcie się, pracujcie, a praca wasza odniesie pożytek — święty pożytek narodowej sprawie, i zyska zasługę, zapisaną tam — u Przedwiecznego!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

✝

Nekrologia.

Śp. Stefan hr. Kwilecki z Dobrojewa

oddał duszę Bogu, 25-go z. m. nagle, na paraliż mózgu, pozostawiając głęboki i prawdziwy żal po sobie. — Rodzina i ludność wiejska, zebrana w domowej kaplicy, gdzie zwłoki tymczasowo złożono, ze łzami w oczach i żalem szczerym w piersi modlitwy do Boga zanosiła na intencyą Zmarłego.



Śp. Stefan hr. Kwilecki.
(Podług fotografii z zakładu artystycznego „Rivoli i Ska (Turski) w Poznaniu“).

Śp. Stefan hr. Kwilecki urodził się 29-go maja 1839 r. z ojca Leonarda Kwileckiego i matki Tekli z Sieroszewskich.

Zaczerpał w domu rodzicielskim cnoty i zalety, aby pełnić służbę dla Boga, na pożytek dla kraju ojczystego i bliźnich.

W szkołach poznańskich pobierał nauki. Później po akademii rolniczej w Hohenheimie, odbył praktykę rolniczą u znakomitego agronoma-patryoty, Ignacego Łyskowskiego, w Mileszewach w Prusach w Brodnickiem.

W 1863 r. czynny był w organizacyi narodowej i znac[illegible] zapas broni własnym kosztem [illegible]gii sprowadził.

Niejakiś czas musiał się przed władzami pruskiemi ukrywać, ale ukrywał się w Wielkopolsce — bo zagranica nigdy nie była Mu sympatyczną; kochał tylko własną ziemię i tylko ona urok dla niego miała.

Po pogromie, gdy nasze drogie nadzieje doznały zawodu — objął Dobrojewo, i z wytrwałością i hartem w duszy niezłomnie pracował — wraz z ludem, który go też wdzięcznem sercem ukochał, ojcem swym nazywał, i jego trumnę łzami oblewał. W r. 1866 zawarł związek małżeński z panną Barbarą Mańkowską, wnuczką jenerała Dąbrowskiego. Szczęście małżeńskie zamąciła strata dwóch synów.

Należał śp. Stefan Kwilecki do naszych Towarzystw wyborczych, centralnego i powiatowego Szamotulskiego, do prac organicznych Kółek włościańskich, Towarzystw ku wspieraniu urzędników gospodarczych — do Spółki Melioracyjnej.

Wybory do parlamentu i Sejmu berlińskiego sam zawsze z wielką energią przeprowadzał wśród znanych w odnośnych powiatach trudności. Przez trzy kadencye posłował do parlamentu. Zdanie jego w Kole Polskiem zawsze wysoko ceniono jako głos prawdy i uczuć narodowych.

Przed paru laty kupił od p. Mathesa Niemca Jankowice i polskie gospodarstwo zaprowadził — przyczem stargał swoje siły i zaczął chorować, zawsze tak czerstwy i wytrwały.

Wzorowy syn, brat, mąż kochający, ojciec rodziny wśród żalu i łez naszych żegnał ukochane Dobrojewo. — Wierny syn Kościoła cieszył się względami naszej Em. Ks. Arcybiskupa i w chorobie otrzymał błogosławieństwo Ojca św.

Wieczne odpocznienie racz Mu dać, Panie!

* * *

Śp. prof. dr. Leon Wituski

urodził się w roku 1825 w Markowicach na Kujawach. Ukończywszy chlubnie nauki w gimnazyum Maryi Magdaleny, słuchał nauk ścisłych na wszechnicach w Bonn i Berlinie. Powołany na prof. do tegoż gimnazyum — najlepsze lata tu spędził w pożytecznym trudzie. Kolejno przechodził szczeble swego zawodu i zyskał nietylko zaszczytne tytuły, lecz równie zaufanie władz, które mu często powierzały zastępstwo kierownika zakładu. Zyskał on uznanie władz pruskich, lecz nie utracił ani sympatyi, ani zaufania u swego społeczeństwa, które gorąco ukochał i dla którego żył.



Śp. prof. dr. Leon Wituski.
(Podług fotografii z zakładu artystycznego „Rivoli i Ska (Turski) w Poznaniu“).

Po za temi obowiązkami, nieboszczyk z całem oddaniem się sprawował od r. 1870 przez lat 16 do r. 1886 obowiązki sekretarza Towarzystwa Pom. Nauk. Czynny i gorliwy, oddający obszerną i głęboką wiedzę na usługi tym, którzy jej pragnęli, często miewał wykłady w niemieckiem Towarzystwie politechnicznem. Nie wiedział nieboszczyk, że ta jego uczynność i gorliwość w pracy uchroni go od banicyi w strony niepolskie. Prąd antypolski i jego miał wyrwać z ukochanego zakładu i otoczenia rodaków. W r. 1873 wyrok banicyjny już był wydanym, lecz wstawiły się za swym prelegentem Towarzystwa niemieckie naukowe, oceniając pracę pożyteczną i zdolności wielkie. Skutkiem tego minister Falk cofnął dekret. Że rozgłos wiedzy zmarłego przeszedł daleko po za granice Wielkiego Księstwa Poznańskiego — na to dowodem zaszczytny dyplom przesłany zmarłemu w r. 1870 od najprzedniejszej instytucyi naukowej francuskiej, Towarzystwa nauk ścisłych, która to instytucya zmarłego mianowała swym „członkiem korespondentem“.

Rok 1866 był niepomyślnym dla nieboszczyka. Napierany przez władze musiał złożyć urząd sekretarza Towarzystwa Pom. Naukowej. Rezygnacya ta szczery wywołała w nieboszczyku żal, ponieważ całą duszą przywiązał się i do Towarzystwa i do działalności swej. Lecz niestrudzony mąż i na innych polach zaszczytnie pracował. Oto w czasach kulturkampfu i długo po jego ukończeniu — przez lat dwadzieścia przewodniczy w dozorze kościoła parafii farnej. I jemu parafia farna zawdzięcza głównie odnowienie kościoła i założenie nowego cmentarza. Lecz nietylko z tej działalności znanym był szerszemu ogółowi nieboszczyk. Nasi rzemieślnicy, szczególniej członkowie Towarzystwa Katolickich Rzemieślników w żywej mają pamięci piękne wykłady sędziwego już wówczas prelegenta. Towarzystwo mianowało go swym członkiem honorowym. Z prac swych publikował nieboszczyk tylko jedną — pod tytułem: „O życiu i dziele optycznem Vitelliona“.

Po 40 letniej pracy profesorskiej opuścił stanowisko swe w r. 1893. Czczerdziestolecie tej pracy uczciło wtedy społeczeństwo pięknym obchodem jubileuszowym i zebraniem funduszu jego imienia, który przelano do żelaznego funduszu Towarzystwa Pom. Naukowej. A gdy po przejściu w stan spoczynku poczuł się znowu wolnym od więzów urzędu, wrócił natychmiast do ukochanego przezeń Towarzystwa Pomocy Naukowej, wstąpił ponownie w jego szeregi i zaraz na pierwszem walnem zebraniu po jego powrocie do Towarzystwa powołano go w uznaniu jego dawnej pracy na kierownika obrad, następnie wszedł znowu do zarządu Towarzystwa, a gdy umarł dotychczasowy prezes jego śp. dr. Osowicki, śp. prof. Wituskiemu ten zaszczytny urząd przypadł w udziale. Wytrwał na tem stanowisku aż do śmierci, mimo ciężkiej choroby, jaka go przed 5 miesiącami powaliła na łoże boleści, na którem spokojnie dokonał pracowitego żywota w 75 roku życia dnia 27 z. m. Cześć jego pamięci!

* * *

S. p. ks. Kasper Kaczmarek, kanonik kruświcki, b. dziekan i proboszcz w Chełmcach, zasnął w Panu, przeżywszy 71 rok życia, a 46 kapłaństwa. Ksiądz Kaczmarek odznaczał się zawsze nadzwyczajną sumiennością w wypełnianiu obowiązków swoich, był nader gorliwym i czynnym w pracach społecznych i uprzejmym w życiu towarzyskiem. Stał on na czele wszystkich niemal instytucyi naszych w powiecie strzelińskim, do których zawiązania sam po większej części dawał inicyatywę, sam zaś prowadził jako dyrektor związek zarobkowy w parafii swojej. R. i p.

* * *

S. p. dr. Teodor Dembiński w Inowrocławiu, dawniej zamieszkały w Poznaniu, w 44-ym roku życia, długoletni sekretarz wydziału lekarskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. R. i p.

Jeszcze wciąż można zapisywać
„PRACĘ“
na miesiące luty i marzec.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* do przyjęcia abonamentu, który wynosi na luty i marzec

tylko 67 fenygów.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał, niech wpłaci na poczcie bezwłocznie

tylko 67 fenygów,

a dostawać będzie pismo nasze przez cały kwartał w każdą niedzielę.

„Praca“ zapisaną jest pod rubryką II t. Nr. 86.

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

Każda poczta jest zobowiązana dostarczyć numera zaległe z bieżącego kwartału.

Premium!

Kto *jeszcze teraz* zjedna nam nowego przedpłaciciela i nadeśle nam prócz swego kwitu abonamentowego także kwit zjednanego nowego abonenta, otrzyma jako premium piękny

Kalendarz Maryański

na rok 1900.

Początek drukujących się powieści, mianowicie „Krwawy chrzest“, „Pod maską“, „Szewczyk Szczygieł“ i t. d. otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeżeli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i znaczek dziesięciofenygowy na porto.

Wiadomości.

Szanownych Czytelników z Galicyi prosimy o łaskawe następujące objaśnienie:

Ile uczyni kwartalnie przedpłata na „Pracę“ na tamtejszej poczcie

a) z odnoszeniem do domu, gdzie poczta w miejscu,

b) z odnoszeniem do domu, gdzie poczty niema w miejscu,

c) bez odnoszenia, t. j. gdy czytelnik na pocztę po „Pracę“ posyła.

Prosimy bardzo uprzejmie o łaskawą dokładną odpowiedź.

Wydawnictwo „Pracy“.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numera „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Premią, mianowicie „Kalendarz Maryański na rok 1900“, otrzymają tylko ci Czytelnicy, którzy nam nadeślą prócz własnego kwitu abonamentowego także na dowód kwit nowego zjednanego abonenta i to kwit z bieżącego miesiąca, a nie z datą starszą.

Do skompletowania kwartalników „Pracy“ potrzebne nam są numera: 47-y z r. z. i 2-gi, 3-ci, 4-ty i 5-ty z roku bieżącego, o których nadesłanie upraszamy niniejszem naszych Czytelników, za co im się wywdzięczymy w inny sposób.

Kalendarz Brazylijski ofiarujemy bezpłatnie tym Czytelnikom „Pracy“, którzy nam nadeślą kwit abonamentowy i znaczek dziesięciofenygowy na porto.

Agenturę „Pracy“ na miasto Bruch w Westfalii i okolicę otworzyliśmy w Bruchu u pana Wojciecha Chwiłkowskiego, prezesa Towarzystwa św. Michała — Hillerheide nr. 16 III, na co zwracamy baczną uwagę Czytelnikom Bruchu i okolicy. U p. Chwiłkowskiego można zaabonować „Pracę“ od każdego czasu.

We wtorek dnia 31 z. m., odprawił ks. Mieczysław Rogaliński po raz pierwszy ofiarę mszy św. w kościele Bożego Ciała o godzinie pół 11. Asystował celebrantowi ks. Kałkowski, dyakonem i subdyakonem było dwóch księży z Kolonii, obecnie tu bawiących. Ceremoniarzem był ks. dyakon Niemir. Odpowiedniemi do uroczystości słowy przemówił ks. proboszcz Kostencki. Prócz asysty czterech księży było obecnych. Pięknie przybrany kościół zapełniony był przyjaciołmi i znajomymi.

Jednodniówka. Niżej podpisany komitet uwiadamia licznie zapytujących się zwolenników rodzimego talentu i dobroczyńców ubogich i chorych, że zapowiadana „Jednodniówka“, której wykonanie powierzono drukarni „Pracy“, przed połową bieżącego miesiąca napewno ukaże się oczom publiczności.

Wybitnie artystyczna wartość pod względem wydawnictwa beletrystyki i illustracyi będzie najlepszą dla niego rekomendacyą.

Nabywać „Jednodniówkę“ będzie można w Zakładzie św. Józefa u Siostry Przełożonej — jako też po księgarniach i w Administracyi „Pracy“.

Komitet redakcyjny „Jednodniówki“.

Śluby. Dnia 30-go z. m. pobłogosławiony został w Gnieźnie związek małżeński pomiędzy panną Franciszką Grabską, córką p. Maryana Grabskiego z Kruszy Podludowej, a p. Nepomucenem Mukułowskim, właścicielem Dąbrówki pod Barcinem. — We Wrześni dnia 30-go z. m. pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy panną Heleną Lutomską, córką Teodora i Maryi z Budziszewskich z Wrześni, a panem Gustawem Szarfem z Magdeburga.

Szczęść Boże młodym parom!

Sprostowanie. W ostatnim numerze „Pracy“ w dziale humorystycznym w wierszyku „Od starej babci“ opuszczono następujący dziesiąty wiersz od góry:

„Nie oszczędza z nas nikogo.“

Odnośny ustęp tak brzmieć powinien:

„...Chronos, ów bezwzględny zdrajca,
„Nie oszczędza z nas nikogo,
„Ten okrutny winowajca
„I ze mną się obszedł srogo.“

Z Górnego Sląska otrzymujemy następującą korespondentkę: „Będąc na zabawie Tow. gimn. „Sokół“ w Rozdzieniu, przesyłamy Szan. Red. serdeczne „Szczęść Boże“ i „Czołem!“ Podpisy“.

Za łaskawą pamięć serdeczne „Bóg zapłać“. Czołem! „Praca“.

Specyalny skład win greckich, węgierskich, francuzkich, szampańskich, reńskich, mozelskich i swojskich miodowych i owocowych po jak najtańszych cenach tylko w najprzedniejszych czystych markach poleca p. Feliks Orlicki w Pyskowicach G. S. (Peiskretscham O. S.), na co zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom i polecamy im gorąco skład win naszego rodaka. Bliższe szczegóły podane są w odnośnym, stale umieszczanym inseracie w „Pracy“. Niech znawcy i smakosze zamówią sobie wino na próbę, a z pewnością po przekonaniu się o dobroci towaru poczynią większe zamówienia.

Śrem. Staraniem tutejszego Koła Spiewackiego odbędzie się u nas w niedzielę d. 11 bm. przedstawienie amatorskie na sali hotelu Wiktorya. Odegrane będą 2 sztuki: „Radzcy pana radzcy“ i „Papugi naszej babuni“, oraz chór męzki odśpiewa charakterystycznego Kujawiaka. Po teatrze zabawa z tańcami.

NADESŁANE.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od redakcyi, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje).

(Ogólne niemieckie Towarzystwo zabezpieczenia w Sztutgardzie). Od 1-go stycznia do 31-go grudnia 1899 roku przyjęto 67,389 nowych zabezpieczeń i uregulowano 13,433 przypadki odszkodowania. Z ostatnich przypada na zabezpieczenie z odpowiedzialnością 6401 przypadków i to 3748 z powodu uszkodzenia cielesnego i 2623 z powodu uszkodzenia rzeczy; na zabezpieczenie w razie okaleczenia 6242, z których 23 zakończyły się śmiercią natychmiastową, a 68 spowodowały zupełne lub też częściowe inwalidztwo. Z członków zabezpieczonych na kapitał w razie śmierci zmarło w tym czasie 790. Dnia 1-go stycznia 1900 było wogóle polis 330,165 na 2,307,381 zabezpieczonych osób.